

Rafał A. Ziemkiewicz

Cała kupa wielkich braci

Niniejszy tekst, gdyby kto pytał, jest opowiadaniem, i to opowiadaniem fantastycznym — więc wszelkie podobieństwo czegokolwiek lub kogokolwiek do czegokolwiek lub kogokolwiek jest, oczywiście, całkowicie przypadkowe. Z wyjątkiem może podobieństwa Świętej Inkwizycji do Świętej Inkwizycji.

Spróbujcie to sobie wyobrazić: nie było nikogo. Ani żywej duszy poza mną. Cały ogromny gmach telewizji na Woronicza, wszystkie jego bloki, studia, dyrektorskie gabinety — puste. W ogóle cała Warszawa — pusta. Absolutna cisza w eterze, kompletna pustka na drogach w całej Polsce, w całej Europie. Co tu długo gadać, po prostu byłem jedynym człowiekiem na całym świecie. Kończysz robotę, wylogowujesz i nagle się okazuje, że kiedy siedziałeś z łbem w henkiteku, ludzkość wyparowała jak załoga „Mary Celeste”. Chcę zobaczyć, kto z was by w tej sytuacji nie spanikował. Gdyby nie pojawił się wreszcie brat Hernandez...

Prawda, nie możecie wiedzieć, co to są, to znaczy co to były henkiteki. Przecież po to właśnie zrobili reset, żeby je wymazać.

Nie ma siły, muszę zacząć od początku.

\* \* \*

Początek właściwie miał być końcem. To znaczy — końcem mojej pracy dla Telewizji Polskiej SA. Mówiąc krótko: ktoś musiał wylecieć ze „Śmietanki poranka” i tym kimś byłem właśnie ja. Nie było to, jak mawiają Amerykanie, nic osobistego. Po prostu potrzebowali jakiejś fuchy dla faceta, którego dyrektor anteny kazał zdjąć z prowadzenia „Wiadomości”, bo tamtej z kolei fuchy potrzebował dla jeszcze innego faceta. Moje skromne stanowisko prezentera telewizji śniadaniowej nie stanowiło wprawdzie obiektu pożądania telewizyjnych wyjadaczy, inaczej w życiu bym się na nie nie załapał, ale ktoś uznał, że z braku laku nada się na odstawkę dla zasłużonego pracownika publicznych mediów.

Nie powiem, szkoda. „Śmietanka poranka” była programem może nieszczególnie poważnym, ale przytulnym. No i miała wielki plus: nadawała, jak sama nazwa wskazuje, w godzinach wczesnoporannych, kiedy wysocy szefowie TVP SA jeszcze smacznie spali. Dzięki temu przez prawie trzy lata żaden z nich nie zauważył, że załagł im się na antenie gość ani śliczny, ani ze wsi, a jeszcze ideologicznie wrogi, bo z „Gazety Narodowej”. Niestety, wiecznie to trwać nie mogło i w końcu nastąpiła epoka Big Sister.

Aha, zapomniałem sprawdzić, czy tego też nie wy — resetowali. No więc kiedy się ta cała historia zaczynała, to znaczy kiedy mieli mnie wylać ze „Śmietanki”, na topie było tak zwane reality szoł. Nazywało się to Big Brother — jedna z konkurencyjnych stacji zamknęła dwanaścioro nudziarzy w chałupie pod Sękocinem, obstawiała ich kamerami i kazała wchodzić we wzajemne interakcje, a publika głosowała przez telefon kogo wyrzucić. Telewizja państwowa wymyśliła dużo lepszy reality szoł, tylko nie wiem, dlaczego nie dała go na antenę. Ogłosiła mianowicie, że w ramach reformy za miesiąc wyleci z roboty jakieś sześćset osób, z tym że kto konkretnie, szefostwo zadecyduje dopiero w ostatniej chwili. To, co potem działo się w redakcyjnych pokojach i na korytarzach, miało taką dramaturgię, że Sę — kocin niech się schowa — gdyby tam podłączyć kamery i jeszcze dodać głosowanie w audiotele, publiczność by oszalała. Nasza Big Sister, jak od razu zaczęto nazywać szefową, umiała tę dramaturgię podgrzać jeszcze lepiej, tak żeby nikt z wzywanych do jej gabinetu nie był niczego pewien. To znaczy ja akurat byłem pewien — doskonale wiedziałem, że w końcu wylecę. Nawet wiedziałem, jaką argumentację przedstawi mi szefowa: że potrzebny jest w programie ktoś młodszy, bardziej dynamiczny i szczuplejszy. Skąd mogłem wiedzieć,

zapytacie? To proste, znałem tego faceta, którego musieli gdzieś przytulić po tym, jak go wylali z dzienników, żeby zrobić miejsce dla nowej miłości pana dyrektora.

Tak więc, kiedy koleżanka przekazała mi, że redaktor Aleksandrowicz wzywany jest do „pokoju zwierzeń”, udałem się w ostatnią drogę z godnością, odprowadzany spojrzeciami, w których współczucie dla „nominowanego” mieszało się z ulgą, że tym nominowanym jest kto inny.

W gabinecie u Big Sister siedział jakiś burak — od razu było widać, że świeżo awansowany i że należący do typu drugiego. Bo w TVP SA awansowali tylko ludzie dwóch typów, jak już chyba zresztą wspominałem. Typ pierwszy stanowili młodzi chłopcy o cherubinkowatym wyglądzie, co było wynikiem powszechnie znanych skłonności dyrektora anteny. Typ drugi — faceci, jak to mówili oni sami, „z peezelu”, co było wynikiem układu sił w różnych radach nadzorczych. Z dwojga złego wolałem już tych drugich.

— Chodź, chodź, Rafał — zawołała radośnie na mój widok szefowa, wskazując krzesło. — Poznajcie się, to jest pan blabląbla, dyrektor blabląbla.

Nie mówiła oczywiście blabląbla, tylko rzuciła jakieś nazwisko, którego nie zapamiętałem, i nazwę telewizyjnej jednostki organizacyjnej, której nie zapamiętałem tym bardziej. Na Woronicza od zawsze było więcej dyrektorów niż ludzi do pracy przy programie, a reforma pomnożyła ich liczbę jeszcze ze trzy razy — po korytarzach od paru tygodni niosło się dziarskie stukanie młotków i zawodzenie pilarek ekip okładających boazerią szykowane dla nowych dyrektorów gabiny.

Oczywiście wobec takiej obfitości dyrektorów nie mogli oni być sobie równi. Cały telewizyjny surwiwał polegał właśnie na tym, żeby umieć odróżnić, który dyrektor naprawdę się liczy, a który tylko dostał synekurkę dla parytetu albo po znajomości. Nie było na to lepszej metody niż staranna obserwacja szefowej. Nasza Big Sister pracę w tej firmie zaczęła jeszcze na długo przed pierwszym liftingiem, pamiętała towarzysza Szczepańskiego i przez te wszystkie lata wyrobiła w sobie bezbłędny instynkt pozwalający z punktu rozpoznać właściwą osobę i odgadnąć jej życzenia.

Wobec buraka zachowywała się w sposób świadczący, że on sam ważny może nie jest, ale na pewno pod kimś ważnym wisi i lepiej mieć z nim dobrze.

— Dzień dobry — wyciągnął do mnie rękę. — Pan Aleksandrowicz? Pan kiedyś pisał o świętej inkwizycji?

To była, muszę przyznać, zasadnicza przewaga chłopców „z peezelu” nad wysłannikami kartelu z ulicy Rozbrat — nie mieli irytującego nawyku przechodzenia z każdym od pierwszego zdania na „ty”.

— Tak, ja — odwzajemniłem uścisk dłoni.

— Świetnie się składa! Widzi pan, sprawa jest taka...

Sprawa była taka: kupili dla telewizji henkitek. A po co telewizji taka zabawka? — zdumiałby się może ktoś postronny; przecież tego się używa do projektowania gier VR, do bardzo specjalistycznej trójwymiarowej grafiki komputerowej i tak dalej, ale telewizja? Odpowiedziałbym takiemu spryciarzowi: a po nic. Któryś z dyrektorów pojechał w delegację albo zobaczył, że ma kasę do wydania jeszcze w tym kwartale, bo jak nie wyda, obetną mu w następnym — i kupił, co było pod ręką. Słyszało się legendy o różnych cudach za ciężkie dolary, które ponoć stały w telewizyjnych magazynach bezużytecznie, bo okazało się, że nie pasują wtyczki, nie ma tego jak w Polsce uruchomić albo w ogóle nie jest na plaster do de potrzebne. No cóż, czego nie wiemy, tego nie wiemy, jak pisał Bułhakow (chyba, na litość Boską, nie wyresetowali Bułhakowa?). Ja mógłbym tylko opowiedzieć, że jak kręciłem w Stanach reportaż o ichnim samorządzie, to kamerzysta z CBS podszedł do naszego z tekstem, że mamy taki nowoczesny, fajny sprzęt, aż zazdrość, bo jego firma to, niestety, uznała, że do reporterki nie opłaca się kupować tych najdroższych kamer, i każe im pracować na starych.

Przypuszczam, że Parkinson, gdyby mógł podziwiać porządki w TVP SA, podskoczyłby z radości, że jego teorie znalazły tak dobitne ucieleśnienie. Zwłaszcza to prawo mówiące, że im większe pieniądze wyrzuca instytucja, tym lżej jej to idzie, podczas gdy kwoty groszowe są rozliczane i egzekwowane z maksymalną surowością. Odkąd zacząłem pracę dla „Śmietanki”, byłem regularnie nękany pismami z szeregiem urzędowych gróźb o zwrot używanego na antenie garnituru. Garnitur ów zgodnie z przepisami powinien wisieć stale na wyznaczonym dla niego haku w magazynie kostiumów, skąd miałem prawo pobierać go jedynie na czas programu. Kiedy go tam nie było, panie ze stosownego działu po prostu nie mogły spać. Nie dało im się w żaden sposób wytłumaczyć, że telewizja śniadaniowa nadaje w godzinach, kiedy magazyn, jak wszystko w ogóle, jest zamknięty na cztery spusty, i że musiałbym być kompletnym kretynem, aby specjalnie przyjeżdżać na Woronicza w przeddzień każdego programu po garnitur i potem jeszcze raz po południu, żeby go tam na kilka dni zdać. Przepisy określały los odzieży jednoznacznie i krótko przed opisanymi tu zdarzeniami dostałem upstrzony imponującą liczbą stempli kwit, w którym TVP SA zawiadamiąta tonem nader sierioznym, że podaje mnie do sądu za kradzież garnituru.

Wracając do rzeczy: kupili ten henkitek za nie wiadomo jakie miliony i zamiast go pogrzebać na wieki gdzieś w magazynach techniki, postanowili się pochwalić, że Polak potrafi. Ktoś zgłosił pomysł transmisji z posiedzenia trybunału hiszpańskiej inkwizycji. Dyrektor anteny po prostu się zachwyił. Dyrektor anteny na każdą wzmiankę o Kościele reagował jak byk na czerwonej płachtę, głęboko przekonany, że biskupi kombinują tylko, jak by tu jego i wszystkich mu podobnych spalić na stosie. Z punktu wsadził inkwizycję do ramówki. I to był właśnie problem. Czas emisji zbliżał się nieubłaganie, a wyodrębniona w ramach reformy agencja, której dyrektorem był burak, nie mogła sobie dać ze sprawą rady.

No dobra — henkitek: co to jest, znaczy: było, jak działało i tak dalej. Doszliśmy w tej historii do punktu, w którym narrator nie może się już wykręcić od konkretnych odpowiedzi na te pytania. W związku z czym, skoro nie ma innego wyjścia, niniejszym rozkładam szeroko ręce i oznajmiam szczerze: pojęcia nie mam. Nie wyjaśnię wam tego, kochani, choćbyście mnie przypiekali żywym ogniem albo zmuszali do relacjonowania obrad sejmu. Wiem, zawołacie w tej chwili: jak mogłeś, Aleksandrowicz! Jak mogłeś nie przewidzieć, iż pewnego dnia ten cudowny wynalazek wyparuje ze świata i nie nauczyć się o nim zawczasu wszystkiego, aby tę wiedzę przechować w swej szarej substancji mózgowej dla ludzkości. Na taki zarzut nie znajdę żadnej odpowiedzi. Co najwyżej wyrażę przekonanie, że żadnemu z was na moim miejscu również by to nie przyszło do głowy.

Pamiętam tylko, że wymyślił to jakiś Fin, zresztą nazwa henkitek była wzięta właśnie z fińskiego i może nawet coś w tym języku znaczy. No i, oczywiście, że służyło toto do podróży w przeszłość. To znaczy tak potocznie się mówiło, w istocie wszystko się odbywało w mózgu operatora. Wiecie pewnie, że człowiek wykorzystuje ze swego mózgu zaledwie kilka procent — to znaczy tak mówią naukowcy, którzy pewnie badali to na sobie; w telewizji, o politykach już nie wspominając, pokazałbym wam bez trudu kupę takich, u których używaną część mózgu stosowniej by wyliczać w promilach. Nieważne, w tej chwili mówimy o tej nieużywanej reszcie. Ta reszta, jak udowodnił jakiś profesor, magazynuje pamięć genetyczną. Każdy z nas ma zapisane w zwojach wydarzenia, których świadkami byli jego przodkowie, począwszy od pierwszej upojnej nocy dwojga trylobitów, po chwilę własnych narodzin. Otóż genialność henkitek polegała na tym, że wnikając przez biozłącze do mózgu operatora, wczytywał mu się w osady pamięci genetycznej i rekonstruował z niej różne obrazki.

Zauważcie, co powiedziałem: obrazki. Statyczne, choć trójwymiarowe. Wkrótce po publicznej prezentacji henkitek u łamy gazet zapewniły się widoczkami bitwy pod Waterloo, scenkami z budowy piramid, ze zdobywania Pałacu Zimowego albo, zależnie od profilu gazety, z balang u Kaliguli. Historycy najpierw je wyśmiewali, twierdząc, że komputer nie

odczytuje żadnej pamięci genetycznej, tylko nieuświadomione fantazje operatora i że obrazki pełne są anachronizmów. Ale potem pojawili się inni, młodszy historycy, którzy wyśmiali tamtych, że są bandą dementów, a to, co uznają za anachronizmy, każe zweryfikować stare badawcze dogmaty i właśnie stanowi dowód, bo ludzie, którym te obrazki powyciągano z mózgowych złożeń, nie mogliby takich szczegółów znikąd znać.

Tak czy owak, zachodziłem w głowę, kto mógł burakowi poddać pomysł, że za pomocą henkiteku można by zrobić z przeszłości nie tylko obrazki, ale pełną telewizyjną transmisję.

— A, to ja mu powiedziałem — oznajmił od niechcenia Zenek, odprawiając jakieś swoje tajemne obrzędy nad trzema klawiaturami jednocześnie.

Omam się nie udawałem herbatą. — Co?!

— No, zaczął ściemniać, że reforma i obetną mi budżet. Musiałem coś wykombinować na poczekaniu, żeby dyrekcja sypnęła kasą.

— I powiedziałeś im, że można zrobić transmisję z hiszpańskiej inkwizycji? — upewniłem się.

— Fakt, mogłem się bardziej wysilić — przyznał, wystukując szeregi cyfr i literek w kodzie szesnastkowym. — Ale akurat to przyszło mi do głowy.

Spróbujcie sobie wyobrazić najbardziej stereotypowego szalonego geniusza — komputerowca, ale takiego jak z komiksu. Takiego z kupą niemytych i niestrzyżonych od lat kudłów, który żywi się wyłącznie deliweringiem, nie opuszcza nigdy zagruzowanej elektronicznym złomem, puszkami po pepsi pełnymi petów oraz zatłuszczonymi kartonami od pizzy i nigdy sam z siebie nie zdejmuje tiszertu — dopiero gdy mu się pokruszy i złuszczy w ramach naturalnej erozji, sięga po następny, oczywiście nie patrząc, co jest na nim napisane.

Tak właśnie wyglądał Zenek.

Nie do końca wiem, czy on w ogóle zdawał sobie sprawę, gdzie pracuje. Na Woronicza ściągnęli go za swoich czasów pampersi, od razu na etat dyrektora finansowego. Facet w życiu nie miał żadnych finansów, czym się różni inkaso od stopy lombardowej nie wyjaśniłby nawet na mękach, ale pampersi wsadzili go na tę fuchę, bo kiedyś chodził do tego samego kościoła na oazy. Podobno zresztą uważano go za jednego z lepszych dyrektorów finansowych w dziejach telewizji — w ogóle się nie wtrącał księgowym w robotę, tylko raz, na samym początku, kazał sprowadzić z Zachodu jakiś superkomputer i nie dał się już od niego oderwać. Następna ekipa wyrzucić go nie mogła, bo pampersi, zakładając swój związek zawodowy, wpisali go w sądzie na przewodniczącego, a przewodniczącego związku zawodowego zgodnie z ustawą wylać nie wolno. Nawiasem mówiąc, numer z założeniem związku zawodowego dyrektorów skopiowała po pampersach obecna ekipa, i to z twórczą modyfikacją, bo założyła takie związki aż trzy. Albo tylko trzy, w sumie stać by ich było na znacznie więcej — w polskim prawie pracy do założenia związku potrzeba zaledwie dziesięciu osób. O liczbie zdecydował inny zapis tegoż prawa, że jeśli dyrekcja chce zreformować wewnętrzną strukturę firmy, musi w tej sprawie uzyskać zgodę co najmniej trzech działających w niej związków. Więc jak przyszło do sławnej reformy na Woronicza, zamiast użerać się z jakimiś strażakami czy maszynistami, prościej było rozrośniętej licznie dyrektorskiej kaście zarejestrować swoje własne trzy związki i wynegocjować nowy układ zbiorowy z samą sobą.

W ramach tejsz reformy udało się także przeszerogować Zenka z finansów do techniki, co było zresztą tylko zalegalizowaniem stanu faktycznego, a potem, ponieważ technikę też rozwiązano, do jednej z agencji, gdzie omamiał jej szefa, znanego wam już buraka, wizją henkitekowej transmisji na żywo z przeszłości.

— Trochę mu nawadzałeś kitu.

— Trochę — przyznał. — Ten cały henkitek jest mocno przereklamowany, wszystko, co się dało zrobić po podstrojeniu, to takie jakby stop-klatki. No ale jak już był, dopisałem taki

program, który nabudowuje na nich normalny VR. Po prawdzie to nie żadna transmisja, tylko animacja, ale oni się nie poznają.

Zawsze mi się wydawało, że animacja w czasie rzeczywistym to coś ponad możliwości obliczeniowe pojedynczego komputera.

— Jak byłem dyrektorem finansowym telewizji, to kazałem zainstalować bezpośrednio łącze z systemem bankowym. Kiedy potrzebuję, podłączam się do ich centrów obliczeniowych.

Brzmiało to wiarygodnie; od dłuższego czasu prasa pełna była interwencyjnych artykułów o karygodnych niedociągnięciach w pracy banków i problemach z obsługą kart płatniczych.

— Naprawdę? Wiesz, nie mam tu czasu czytać gazet. Słuchaj, chłopie, chodzi tylko o to, żeby nie przeszkadzali mi w robocie. Gdyby to fińskie cudo naprawdę mogło wyciągnąć ze łba coś więcej niż obrazki, posadziłbym przy pulpicie byle kogo. Ale trzeba będzie trochę podpicować, no wiesz, i dlatego kazałem znaleźć takiego dziennikarza, który już miał w temacie jakiś brif.

— Ale ja o tym pisałem na tempo do świątecznego numeru pięć lat temu...

— Nie szkodzi, w szarej substancji nic nie ginie, jak się ją tylko umie przeszukać. Procedura jest taka: wymyśl czas i miejsce, ja ci przeczesez henkitekami łeb na obrazki i postaci, potem którąś z nich zaanimujemy i w jeden, dwa seanse przygotujemy dane wyjściowe. A potem się napisze programik, który to ładnie zaszyje, i już będzie można zgrywać.

Dla Zenka, jak przystało na geniusza, to był tylko programik. Brat programista powiedział mi potem, że oni nad takim programikiem, fakt, że o ile bardziej skomplikowanym, pracowali długie lata. W końcu szło ni mniej, ni więcej, tylko o stworzenie świata.

\* \* \*

Oczywiście aż tak daleko nie zaszliśmy; zdążyliśmy stworzyć tylko brata Hernandeza. Gdybym miał nieco więcej asertywności, w ogóle kazałbym się burakowi wypchać i wszystko zostałyby po staremu. Ale nie miałem. Sorry, ale w końcu ta fucha była szansą załapania się gdzieś po nadchodzącym wielkimi krokami zwolnieniu ze „Śmietanki”.

Więc nie tylko nie kazałem mu się wypchać, ale wręcz przeciwnie, zapewniłem, że wszystko jest świetnie, właśnie robimy risercz i niedługo już zobaczy jego wymierne, ekranowe efekty. Po czym zostawiając techniczną stronę zagadnienia Zenkowi, zabrałem się do pisania scenariusza.

Oczywiście doskonale wiedziałem, czego się spodziewał po takim programie pan dyrektor i cała ekipa. Kawalków jak z „Lochów Watykanu” czy „Studni i wahadła” — zakapturzonej policji politycznej, torturującej heretyków wymyślnymi machinami i ozdabiającej hiszpańskie pejzaże setkami płonących stosów. Burak gdzieś słyszał, że pisałem o inkwizycji — natomiast co pisałem, najwyraźniej nie pofatygował się sprawdzić. A pisałem, że czarna legenda, którą otoczyli działalność świętego oficjum protestanci i którą potem do granic absurdu rozdzieli oświeceniowi encyklopedyści, jest, delikatnie mówiąc, przesadzona. Inkwizytorzy byli tylko pierwszymi w dziejach Europy zawodowymi sędziami, którzy, nawiasem, wymyślili wszystkie procedury stosowane w sądownictwie do dziś.

Zastanawiałem się nad wykorzystaniem jakoś dramaturgii inkwizycyjnego posiedzenia, bardzo przypominającego dzięki ławie przysięgłych sąd amerykański. Amerykanie zrobili z tego parę kinowych hitów i osobny kanał telewizyjny, to i ja bym mógł. Problem polegał na tym, że dobra dramaturgia wymagała uwieńczenia malowniczą egzekucją, a inkwizycyjny proces nastawiony był nie tyle na ukaranie heretyka, co na zbadanie, czy faktycznie jest heretykiem, i jeśli tak, skłonienie go do wyrzeczenia się błędów. Facet musiał bardzo chcieć, żeby proces skończył się skazaniem, a ze skazanych dziewięciu na dziesięciu dostawało nakaz chodzenia przez ileś tam niedziel w czymś w rodzaju oślich uszu. Czytałem ze

zniesmaczeniem, jak żałośnie mało było wśród heretyków ludzi prawdziwie ideowych — w końcu nawet ci skazani na quemadero w większości w ostatniej chwili przed wstąpieniem na stos doznawali łaski oświecenia i też wykręcali się oślimi uszami.

Obłożyłem się Contrerarasami i Alvarezami, z Internetu ściągnąłem Henry'ego Kamena i przez parę godzin szukałem jakiegoś konkretnego czasu i regionu, gdzie będzie najłatwiej o dobry, należycie krwisty temat. Wszyscy badacze okazali się zgodni, że najkrwawsze łaźnie urządzali chłopcy Torquemady w okręgu Bajadoz. Sprawdziłem. Między 1493 a 1599 spalili tam całe dwadzieścia osób. Zdaniem Kamena nawet dwadzieścia jeden.

Powiecie, że zamiast grzebać w tym wszystkim, trzeba było pójść pewniakami — Galileusz, Giordano albo... No, któryś z nich dwóch. Nie, kochani, pomyślałem i o tym, choć zasadniczo zamówienie opiewało na inkwizycję hiszpańską. Niestety, oznaczało to tylko kilka kolejnych godzin zbędnego rycia w lekturach, zakończonego stwierdzeniem, że sprawa zupełnie się nie nadaje do dzisiejszych mediów. Jak chcecie wiedzieć dlaczego, to poczytajcie sami, nie chce mi się już referować.

— Bo z ciebie palant, że głowa boli! — zirytował się Zenek, kiedy w uczuciu głębokiej frustracji zdawałem mu sprawozdanie ze swoich studiów. — To na to tu trzymam ten hardware, żebyś się kopał w papierach? Bierz tyłek w troki i przyjeżdżaj, podłączę cię do pieca i zaraz będziesz wszystko wiedział.

Nie ośmieliłem się — znowu ten brak asertywności — spytać Zenka, czy wie, że dochodzi czwarta nad ranem. Zresztą dla pracownika „Śmietanki” w sumie nie była to żadna szczególna godzina, strażnicy na bramce nie tylko się nie zdziwili, ale nawet nie chciało im się odwrócić od telewizora, kto tam popiskuje elektroniczną bramką. Oczywiście, jak wszyscy strażnicy w TVP SA, oglądali Polsat.

Okazało się, że zamiast rwać włosy z głowy, należy podejść twórczo do swojej podświadomości. Podświadomość może wszystko — problem tylko, żeby zmusić ją do współpracy. A ponieważ spałować własnej podświadomości nie sposób, trzeba ją zażyć z mańki, najlepiej poprzez zwizualizowanie w odpowiednio wymyślonej postaci wydzielonej z własnej jaźni, która pełnić będzie rolę przewodnika i pośrednika w dostępie do rozszyfrowywanych przez henkitek zlogów z pamięcią genetyczną. Zenek ściągnął skądś odpowiedni program i kiedy dotarłem do jego podziemi, właśnie kończył kompilowanie wersji, w której nałożył ten program na moje henkitekowe wizje.

— Mam do ciebie tylko jedną wielką prośbę — rzekł, uruchamiając maszynę. — Uważaj, jak on się będzie ruszał, zwłaszcza przy półobrotach.

— Kto?

— Nie mam pojęcia kto, to przecież będzie postać z twojej podświadomości. Mnie to wszystko zwisa, pracuję nad algorytmami poruszania się człowieka. A myślałeś, że co tu robie?

Przyznałem uczciwie, że tego akurat pytania sobie nie zadawałem, i zresztą nie uważam, żebym to właśnie ja był tym, który je sobie zadać powinien.

— Tylko dlatego się zgodziłem na tę głupią robotę, żeby nie prosić się tygodniami o każdą godzinę komputera na uniwersytecie. Jeszcze pół roku, rok i będę miał prawie kompletne algorytmy do animacji całej sylwetki w pełnym zakresie ruchów.

Mówiąc to, założył mi na łeb opleciony kablami hełm z elektrodami. Zaraz potem huknęło, potem rąbnęło, gwizdnęło, zaświergoliło, zaślurgotało i wszystko zniknęło. Ja w pierwszej chwili też.

Nie było to przyjemne uczucie — z początku nie było mnie w ogóle, a kiedy już trochę zacząłem być, to przybywało mi bardzo powoli. Może to autosugestia, ale miałem wrażenie, jakby coś mnie czytało, wysysało starannie informacje z każdej mojej komórki, pomlaskując przy tym. Nie wiem, czy inni użytkownicy henkiteków odczuwali podobnie, teraz już raczej trudno o to zapytać.

Kiedy „czytanie” wreszcie się skończyło i odzyskałem wzrok, zobaczyłem siedzącego po przeciwnej stronie stołu mnicha, który pochylając się nad blatem, wpatrywał się z zaciekawieniem w moją twarz.

— Następna sprawa — odezwał się. Pic, pomyślałem, powinien przecież mówić po hiszpańsku. I to po starohiszpańsku.

— Laudetur Iesus Christus — przypomniałem sobie z niejakim trudem odpowiedzią na taką okazję formułę powitania. Przeżegnał się, odpowiedział: In secula seculorum i nadal czekał na wyjaśnienia z mojej strony.

— Mam do księdza... eee, brata, sprawę. Chodzi o herezję...

Siedzieliśmy, jakże by inaczej, w jakiejś zakonnej celi. Mój rozmówca westchnął z rezygnacją.

— Jeszcze jeden z donosem na sąsiada, co? Idź synu na parter, przy furcie w korytarz po prawej stronie i trzecia cela na lewo. Ja jestem inkwizytorem. Nie po to kończyłem dwa wydziały, prawniczy i teologiczny, żeby gonić za twoimi donosami. Studiowałem, żeby przeprowadzić dysputom, które pozwalają rozstrzygać niejasne materie magisterium Kościoła powszechnego i dojść ostatecznie, raz na zawsze, do światła jedynej prawdy...

— I co, jak się rusza? — spytał mnie po wewnętrznej Zenek.

— Rusza się świetnie, ale po jakiemu z nim właściwie gadać?

— Po jakiemu ci wygodnie! Przecież to twoja podświadomość, nie moja — odparł i parsknął cicho, z wyraźną irytacją. To ciche parsknięcie miało się okazać ostatnim, co od niego usłyszałem.

— Rozumiem... Przepraszam, fray, ale zupełnie się na partnera do takich dysput nie nadaje — przerwałem bratu Hernandezowi (nie pamiętam, skąd wiedziałem, że się tak nazywa, musiał mi się w którejś chwili przedstawić). — Mam do załatwienia zupełnie inny biznes.

— Wal śmiało, synu.

— Chodzi o to, żebyście spalili specjalnie dla mnie jakiegoś heretyka...

— Palić heretyka? Chyba sobie robisz jaja, synu. Jesteś u inkwizytora, a nie u komendanta straży miejskiej. My nikogo nie palimy.

— Tak, wiem, że od palenia jest...

— Ramię świeckie — skinął głową.

— Wystarczy mi, żebyście go skazali. Po prostu żebym mógł obejrzeć taki proces od początku do końca. Aż do przekazania sądowi królewskiemu.

Pokręcił ze zniechęceniem głową.

— Bez sensu, że się tak daliśmy wrobić w tę służbę królewską, mówiłem bratu Torquemadzie, że politycy się wszystkiego wyprą i to nas będą potem obsmarowywać. Ale, tak czy owak, zajmujemy się tym, co do nas należy: orzekaniem, co jest herezją, a co nie.

— No właśnie. Czy moglibyście dla mnie rozprawić się z jakąś herezją? Może być nieduża.

— O, to wymaga scholastycznej dysputy. Pozwany przedstawia swój pogląd, argumentuje, my używamy kontrargumentu i jeśli jego wystąpienia okazują się sprzeczne z nauką Kościoła, on je odwołuje.

— No — do czegoś jednak zaczęliśmy się zbliżać. — A jeśli nie chce odwołać, to go bierzecie na tortury, a potem palicie?

— Już ci mówiłem, że inkwizycja nikogo nie pali. Inkwizycja ma ustalać, co jest zgodne z nauką Chrystusa, a co nie. Przez te ciągłe wojny dynastyczne w cesarstwie zrobił się z tym taki burdel, że byle kacyk zmuszał czy przekupywał lokalnego biskupa, żeby ogłaszał jego przeciwnika heretykiem, i w końcu byle bójkę w knajpie ogłaszano krucjatą. Dopiero świętej pamięci Grzegorz IX zrobił z tym porządek, pozostawiając rozsądzanie o herezji do wyłącznej kompetencji niezależnych fachowców. Czyli właśnie nas, trybunałów inkwizycyjnych. Każdy musi przyznać, że osiągnęliśmy wielki postęp: dzisiaj już żaden

władca nie może sobie pozwolić na gnębienie politycznego przeciwnika czy gacha żony pod pozorem herezji albo czarów.

— Ale chyba znajdujecie jakichś heretyków, którzy naprawdę są heretykami?

— Po to jesteśmy. I po to, żeby wytłumaczyć komuś takiemu, gdzie się myli. Przytaczamy mu pisma świętych doktorów, ojców Kościoła, objaśniamy mechanizm jego błędu...

— I go torturujecie?

— Pogięło cię, synu, z tymi torturami? Torturuje się w zwykłych sądach, tam jest prosta sprawa — pał go raz, dwa, trzy, przyznał się i koniec. A co dadzą tortury przy udowadnianiu błędu teologicznego? Przecież nie chodzi o to, żeby błędzący udał, że się zgadza, a potem nadal mącił prostym ludziom w głowach. Chodzi o to, żeby naprawdę zrozumiał swój błąd i się go wyrzekł. Prawda jest jedna i już święty Augustyn uczył, że światło rozumu zawsze pozwoli ją znaleźć.

— No ale jeśli błędzący nie daje się przekonać?

— Ha — powiedział ponuro fray Hernandez. — Istotnie, czasami się to zdarza. No cóż, jeśli nie natrafimy na dobrą wolę pozwanego, nasza misja kończy się na stwierdzeniu, że mamy do czynienia z zatwardziałym wywrotowcem, i przekazaniu go sprawiedliwości królewskiej.

— I wtedy go palą? I torturują? — podjąłem z nadzieją.

— Taki istotnie jest tutejszy obyczaj — przyznał. — No a co innego można zrobić z zatwardziałym heretykiem? Każda herezja, synu, to ideologiczna podkładka do działalności terrorystycznej. Prędzej czy później ktoś zacznie w jej imię zabijać. Gdyby pozwolić im się pienieć, zagroziłyby całemu łaadowi cywilizowanego świata i wartościom, na których się on opiera.

— Dobra, fray, spróbujmy z innej beczki. Z kim trzeba załatwiać, żebyśmy mogli zrobić transmisję z takiej inkwizycyjnej rozprawy?

— Transmisję z rozprawy? — w jego głosie i zachowaniu zaszła nagle zmiana. W pierwszej chwili jej nie uchwyciłem zajęty intensywnym myśleniem, jak można podobną sprawę wytłumaczyć piętnastowiecznemu inkwizytorowi, nawet jeśli się go zaczerpnęło z własnej podświadomości czy złogów genetycznych.

— Widzisz, fray, sprawa wygląda tak. Od twoich czasów minęło już wiele pokoleń i my, ludzie z przyszłości, chcemy zbadać, jak to było...

— Zbadać? — powtórzył z niemądrą miną.

— Zbadać, jak to naprawdę, eee, wyglądało w waszych czasach. Dlatego ułożyliśmy program... To znaczy zbudowaliśmy taką maszynę...

— Maszynę?

— Maszynę, która wymodelowała komputerowo przeszłość...

— Program? Modelowanie komputerowe? — Głupia mina zastygła na dobre na twarzy inkwizytora. Zamilkłem zdetonowany jego dziwnym zachowaniem.

— Modelowanie komputerowe? — powtórzył.

Gapił się dziwnie przed siebie i nie reagował na pytania. Pomachałem mu kilka razy dłonią przed oczami, ale nie zwrócił na to uwagi. Nie zareagował nawet, gdy go uszczypnąłem w policzek. Wstałem, obszedłem stół dookoła, wyjąłem spod mnicha stołek — pozostał nieruchomy jak woskowa lalka od madame Tussaud. Z tą różnicą, że od czasu do czasu powtarzał pytającym tonem: „modelowanie komputerowe?”.

— Zenek? Zenek, słyszysz mnie? — dopytywałem się po wewnętrznej. — Coś się zawiesiło!

Zenek nie odpowiedział, za to fray Hernandez oznajmił nagle głosem nader oficjalnym: „zawiesiło się” — i znieruchomiał ostatecznie.

Podjąłem jeszcze parę bezskutecznych prób zmuszenia go do jakiejś reakcji, ale ponieważ i on, i cały otaczający nas świat zamarł w miejscu jak landszaft, dałem w końcu spokój i wylogowałem. Zdjąłem z głowy komputerowy hełm i poszedłem szukać Zenka, bo



oczywiście w pokoju go nie było. Na korytarzu także nie. Ani na parterze, gdzie wyszedłem wąskimi stalowymi schodkami z przerobionych z magazynu pomieszczeń jego superkomputera.

Nie było nie tylko Zenka, ale w ogóle nikogo. W bloku, w którym mieściła się informatyka, jeszcze nie było to tak podejrzane. Ale chociaż zaczął się już dzień i od paru godzin cała telewizja powinna pracować, a przynajmniej pozorować pracę, pustka panowała także w korytarzach i studiach bloku emisyjnego, a nawet w zawsze pełnym wieżowcu zarządu. Żaden strażnik nie pojawił się przy wejściu, gdy całkowicie nielegalnie forsowałem bramki w tę i z powrotem; nikogo nie było na ulicy...

No tak, już wam to opisywałem. Zostałem jedynym człowiekiem na całym pieprzonym świecie i, przyznając się bez bicia, zacząłem wpadać w coraz większą panikę. Wybiegałem z gmachu i wracałem do niego, przeczesałem częstotliwości radiowe i telewizyjne, dzwoniłem pod przypadkowe numery, szczypałem się wielokrotnie w różne części ciała — możecie sobie wyobrazić. Trwało to pewnie dobre parę godzin i nie wiem, czy nie ze — świrowałbym na amen, gdyby nagle w szerokim korytarzu wiodącym wprost z dyrektorskich gabinetów nie wyszedł wprost na mnie... No, któż inny mógł na mnie wyjść w takiej historii jak ta? Oczywiście inkwizytor, jak z książkowej ilustracji — w białoczarным dominikańskim habitie i z wielkim krzyżem na piersi.

Strój nieco mu się zmienił, ale wystarczył jeden rzut oka na twarz — owym inkwizytorem był fray Hernandez, wyprodukowany wspólnie przez moją podświadomość i telewizyjny henkitek. Odetchnąłem z ulgą. A więc nie ześwirowałem, tylko po prostu nadał tkwię w zawieszonym programie, z którego prędzej czy później Zenek mnie wyciągnie. Dopiero po chwili naszedł mnie strach, że jak źle pójdzie, nigdy już nie będę pewien, czy w końcu wydostałem się na jawę, czy tkwię w kolejnej henki — tekowej złudzie jak Lemowski król Murdas.

— Tak, wiem, frater — powiedziałem na głos, gdy podszedł do mnie i mocnym uściskiem za ramię udowodnił, że nie jest żadną zjawą. — Program mi się zawiesił.

— Nie całkiem tak, synu — pokręcił ze smutkiem głową. — To nam się zawiesił program.

\* \* \*

Domyślacie się już? To gratuluje, ja taki domyślny nie byłem. Brat Hernandez musiał mi wszystko długo tłumaczyć, kawę na ławę. Nie powiem, że bym łatwo uwierzył, ale sytuację miałem raczej przeciwko sobie.

Mieli wyraźny problem, co ze mną zrobić. W każdym razie postanowili o tym pogadać w większym gronie. Zasiadliśmy w najbliższym gabinecie; do Hernandeza dołączył chudy młodzieniec z bródką, nazywany bratem programistą, oraz zażywny staruszek, do którego obaj pozostali zwracali się z szacunkiem per Wasza Świątobliwość. Wszyscy trzej byli w takich samych habitach, z tą drobną różnicą, że Jego Świątobliwość miał przesunięte kolory. To znaczy czarne części jego sylwetki dzieliło parę centymetrów od białych, jak w rozregulowanym telewizorze. Kiedy to dostrzegł, popatrzył tylko z irytacją na zaczerwienionego brata programistę, ale w końcu machnął ręką. Miał na głowie większe problemy.

— Ależ się z nas franciszkanie będą nabijać! Cały projekt! Tyle pracy, tyle dysput i żeby się w końcu zawiesił jak te tanie programy modlitewne brata Gatesa...

— To naprawdę nie jest wina programistów, Wasza Świątobliwość — opierał się Hernandez. — To oni — pokazał na mnie. — Rozwinęli informatykę na tyle, że jakiś miejscowy geniusz napisał program kreacyjny pracujący na identycznej zasadzie jak nasz. Więc kiedy wewnątrz kreacji zaczęła funkcjonować druga kreacja... — rozłożył bezradnie ręce, a brat programista poparł go, smutnie kiwając głową.

— Nie mogliście się jakoś przed tym zabezpieczyć?

— Ależ, Wasza Świątobliwość, przecież symulanty — teraz programista pokazał na mnie — musiały mieć całkowitą samodzielność i wolną wolę! Inaczej cały projekt nie miałby żadnej wartości egzemplifikacyjnej.

— Wszystko jedno. Po tej wpadce franciszkanie i tak zakwestionują całą jego wartość egzemplifikacyjną i znowu znajdziemy się w punkcie wyjścia. — Jego Świątobliwość wyglądał na podłamanego, pozostali zapewniali go gorąco, że wcale nie jest tak źle: drobna trudność techniczna, poprawią, zresetują i wszystko będzie dalej grało.

— Z początku się takie rzeczy zdarzały nawet często, choć na dużo drobniejszą skalę. Trzeba było tu czy tam założyć łatkę w programie i żaden franciszkanin nie zgłaszał zastrzeżeń — mówił ten z bródką. — Wręcz się zgodzili, że nawet lepiej, bo w ten sposób powstał w alternatywnym świecie pozór cudów, które realnie się tam zdarzać nie mogły.

Ciągle mówili o franciszkanach, bo, jak mi to wyjaśnił Hernandez, cały projekt powstał wskutek rywalizacji między tymi zakonami. Gdzieś w początkach dwudziestego wieku — ich dwudziestego wieku, ma się rozumieć — franciszkanie zaczęły bardzo mocno krytykować dominikanów za inkwizycję. Że sprowadzili na lud boży niepotrzebne zło, że Kościołowi wystarczyłoby Chrystusowe miłosierdzie, miecza nie potrzebował, słowem — że bez trybunałów supremy, fray Torquemady i reszty historia świata wyglądałaby dużo lepiej. Oczywiście dominikanie twierdzili coś wręcz przeciwnego. Niekończący się spór między dwoma największymi zakonami w owczarni pańskiej zaczął przyprawiać papieża Piusa XXVII o taki ból głowy, że nakazał po prostu sprawdzić rzecz empirycznie. Czyli wymodelować w pamięci superkomputerów watykańskiej kongregacji do spraw wiary świat taki, jaki by się rozwinął, gdyby święta inkwizycja nie wytepiła była w zarodku wszystkich zasługujących na wytepienie herezji.

— Bez cienia radości muszę ci powiedzieć, synu, że wyszło na nasze — podsumował fray Hernandez. — Sam wiesz najlepiej, wybuchła ta okropna rewolucja, jak jej tam, francuska, wymordowano tylu dobrych chrześcijan, a potem zaczęły się te wszystkie rzeczy, że aż w ogóle mało kto miał odwagę do waszego świata zaglądać. Sam zresztą wiesz najlepiej, co się tam u was dzieje.

— Dzieje się, co się dzieje — podczas tej rozmowy byłem jeszcze w nastroju do sporu. — Ale jak mi będziesz opowiadać, że u was nie ma żadnych wojen ani zbrodni...

— Oj nie, oj nie — westchnął boleśnie Hernandez i wbrew temu, czego się spodziewałem, odezwał się bardzo pokornie: — Szatan nie zasypia ani na chwilę! Nie tak dawno w Gruzji trafił się taki jeden, brat Dżugaszwili... Wilk w owczarni pańskiej, synu, aż horror o tym myśleć. Zanim zdołaliśmy tę jego herezję zdławić, zamordował prawie dwie setki ludzi, wyobrazasz to sobie? Dwustu ludzi! Straszna sprawa...

Kiedy siedzieliśmy we trzech w gabinecie prezesa telewizji publicznej — tak jakoś wyszło, że Hernandez znalazł mnie właśnie w tej części opustoszałego gmazyska — nie miałem już większej ochoty się awanturować. Jego Świątobliwość wypytywał mnie o różne fakty historyczne i o to, co myślę i co w ogóle się myśli w moim świecie na ten lub tamten temat, i widziałem tylko, jak coraz bardziej czerwienieje mu twarz i wyłazą żyły na skroniach. Wreszcie, kiedy referując historię ruchu feministycznego, doszedłem do rozłamu Women's Lib na kongresie w Los Angeles w 1982 na tle stosunku do lesbijskiego sadomasochizmu, przesunięty w kolorach zakonnik machnął ręką i mruknął coś w rodzaju: „Dość już tej ohydy”.

Popatrzył smętnie na mnie, na swoich współbraci i orzekł:

— Pan Bóg wie, co robi. Ten paskudny świat zawiesił się w samą porę. Cokolwiek tam będą mówić bracia franciszkanie, najwyższy czas zakończyć ten eksperyment...

— Zaraz, zaraz, jak to zakończyć? A ja?

— Ty? Ależ ty, synu, tak jak oni wszyscy, jesteś tylko symulantem. Programem symulującym prawdziwą osobowość...

— Zaraz, zaraz! — zezłościłem się. — A Wasza Świątobliwość skąd ma pewność, że nie jest tylko programem? Przecież mam wolną wolę, brat programista sam przed chwilą to potwierdził.

— Ależ, synu — uśmiechnął się jak do niemądrego dziecka — prawdziwy człowiek posiada nieśmiertelną duszę...

— Niech mi Wasza Świątobliwość pokaże swoją nieśmiertelną duszę, to ja pokażę swoją. — Nie znalazł na to odpowiedzi, więc starałem się iść za ciosem: — Wcale się nie prosiliśmy, żebyście zaczynali ten cały nieszczęsny eksperyment. Ale jak go zaczęliście, to nie możecie teraz ot tak wyjąć wtyczki z kontaktu, to przecież jakbyście zamordowali cztery miliardy ludzi. Czy nawet pięć!

— Ależ ci ludzie i tak zniknęli, i to wskutek swoich działań. To był wypadek losowy.

— Żeby być ścisłym, to nie całkiem tak — odezwał się brat programista. — Oni wszyscy są, tylko po prostu chwilowo nie funkcjonują. Wystarczy dokonać pewnych poprawek, usunąć ten ich program, który spowodował całe zamieszanie, i zresetować system. Nikt z symulantów nie zauważy. Prawdę mówiąc, już kiedyś musieliśmy...

— I po co? — przerwał mu Jego Świątobliwość. — Chyba dowiedzieliśmy się już wystarczająco wiele. Komu potrzebna jest wiedza, do czego jeszcze może dojść ten chory, zaburzony w rozwoju świat? Dokąd ona zaprowadzi?

— No, już kto, jak kto — wtrąciłem się — ale wy powinniście mieć trochę zaufania do bożej opatrności!

Brat Hernandez uciszył mnie, trącając pod żebro.

— Pośrednia kreacja — powiedział. — Przypomnijcie sobie, drodzy bracia, tego teologa z Lozanny, co twierdził, że Pan Bóg może używać swym stworzeniom mocy tworzenia...

— Co brat mówi! To przecież był tylko model... Miałem straszną ochotę do tej dyskusji wtrącić coś jeszcze, ale inkwizytorzy, napotkawszy tak ciekawy teologiczny problem, stracili zainteresowanie moją osobą. Może niepotrzebnie próbowałem je odzyskać; Jego Świątobliwość nawet nie spojrzał w moją stronę, skinął tylko dyskretnie na brata programistę i to było na tyle.

\* \* \*

Tym razem nic nie gwizdało, nie huczało, nie ślurgotało i w ogóle. Było tylko to nieprzyjemne uczucie, kiedy wszystko zniknęło, i zaraz potem okazało się, że siedzę w gabinecie szefowej, a ona pełnym słodczym głosem wyjaśnia mi, iż „Śmietanka” potrzebuje prezentera młodszego, bardziej dynamicznego i, niech pan się nie gniewa, panie Rafale, ale w końcu jest pan pracownikiem ekranowym, szczuplejszego. Po tym wszystkim, co się ostatnio zdarzyło — to znaczy nie zdarzyło się, bo, jak tłumaczę, wszystko wyresetowali — zgodziłem się z nią w całej rozciągłości. Szefowa podobno była potem zachwycona: jeszcze nigdy nie widziała, żeby ktoś, kogo wywalą z pracy, przyjął to z tak stoickim spokojem i pogodą ducha. Co zresztą nie przeszkodziło jej zaraz po wymianie pożegnalnych uprzejmości zadzwonić na wartownię z żądaniem unieważnienia mojej przepustki, tak że nie mogłem nawet zabrać własnych rzeczy z biurka.

Nawiasem mówiąc, argumentacja szefowej pozostała ta sama co przed resetem, a facet, który w końcu przyszedł do programu, okazał się starszy ode mnie, grubszy i jeszcze bardziej zaspany. W całej koronkowej robocie, jaką musieli wykonać konfratry brata programisty, jest to jedna z niewielu luk, jakie udało mi się znaleźć. Poza tym, ot, paru ludzi zniknęło, jakby nigdy nie istnieli, zmieniło się parę nazw, a o henkitekach i wszystkim, co

doprowadziło do ich powstania, nikt nigdy nie słyszał. Jednym słowem, reset przebiegł z chirurgiczną precyzją, że sam nie wymyśliłbym lepiej.

No, gdyby mnie pytali, to może sugerowałbym nieśmiało, że mogliby przy okazji wyresetować parę telewizyjnych biurów. Bo, naturalnie, kilka miesięcy po całej sprawie dostałem poleconym wyrok w imieniu Rzeczypospolitej skazujący mnie zaocznie na grzywnę i koszty sądowe za kradzież służbowego garnituru.

Chociaż w tej sprawie pewnie i tak by mi nie poszli na rękę. Stanowczość, jaką okazały panie z telewizyjnego magazynu, musiała radować duszę każdego prawdziwego inkwizytora.

październik 2001